

Trzy nagrody literackie

za rok 1929.

Nagroda Lwowa — L. Staff.

Cala twórczość Staffa jest spowiedzią, — pisał St. Brzozowski. Określenie to nie jest ścisłe, bo spowiedzią powinna być każda rzetelna twórczość.

Poezja Staffa — to spowiedź radości; radości, która budzi się wtedy, gdy uświadamia się sobie jakąś najblaszszą pozemnie rzecz. Poznanie, uświadomienie — to walory i cechy charakterystyczne poezji Staffa. Uświadomienie ma już w sobie dużo z intelektu. Staff jest właśnie tym typem poety, który ma zaufanie do wiedzy. Nie mrozi to bynajmniej jego sztuki, — a daje jej głęboki rezonans wielkiego świata wiedzy. Sprawia to tę ogromną intensywność w przeżywaniu najróżnorodniejszych tematów, dostępnych tylko umysłom wszechstronnie i głęboko wykształconym. Jeśli Staff w poezji swej spowiada się — to ma z czego się spowiadać. A w tem tkwi sedno!

Jeśli dzisiaj większość zdemokratyzowanych poetów cechuje wypieranie się liryki osobistej, strach dziwny przed obnażaniem własnej duszy, to nie znaczy to, żeby nikogo nie obchodziło to, co artysta czuje, co przeżywa — jest to tylko faktem stwierdzającym, że ci poeci nie pięknego i wielkiego nie przeżywają. Jeśli dziś mówi się do artysty: nie nikogo nie obchodzi, co ty czujesz — nie znaczy to, by tak było naprawdę. Zaprawdę płaskie myśli i wyszarzane uczucia nie nikogo nie obchodzą i obchodzić nie będą nigdy. Ale spowiedź serca, co przeżyło i wyczuło najdrobniejsze drganie duszy ludzkiej, serca co tajemniczą siłą zmieniło w swem wnętrzu każdą rzeczywistość w sen piękny i jedyny, co w sobie odnalazło niewyczerpane źródło poezji — taka spowiedź zawsze będzie tem, co jest dla nas najdroższe i najświętsze. A właśnie Staff ma tę cudowną zdolność wyczuć we wszystkim poezji i tworzenia ze wszystkiego poezji. On, może jeden wśród dzisiejszych poetów, godzien jest o sobie powtórzyć za Norwidem — „poezja, co aby była poezją, odrzuca tematy suche i czeka na wdzięczne, nie należy do mojej kompetencji“. Ale aby z każdego najmniejszego porwywu życia czynić poezję, trzeba mieć w pierś „całą bekształtną masę kruszców drogotnych“ i czuć najwyższą odpowiedzialność wobec siebie i sztuki.

Jeżeli p. Grot w „Głosie Literackim“ odświadcza Staffa od współczesnego życia literackiego, nazywając go „Wielkim Antykwaryszem“ — to stwierdza tem samem obawę współczesności niby tworzących poetów, którzy czują odpowiedzialność za słowo, ale tylko względem jakiejś kasty, czy partii, czy doktryny; być może koło nich i nad nimi żywego sprawdzianu wielkiej i nie nowoczesnej, lecz zawsze współczesnej sztuki. — I właśnie w obliczu tych doktrynerskich posunięć względem Staffa znamieniem i zadziwiającem jest to, że żaden z poetów Młodej Polski nie wywarł takiego wpływu na młodszą generację poetycką jak On. Staff ma już sygnów i to utalentowanych! A od przeżywaczy jego bogatej duszy, rozrzuconej z młodzieńczego zawsze przepychem, aż roi się w młodej poezji. Wierzyński nauczył się od

Niego tej swej cudownej „pijanej duchem bożym“ młodości. Tuwim wyraźnie szedł długo jego śladami, szkoda tylko, że tak mało przyswoił sobie od Staffa... kultury. Jan Sten nazwał twórczość Staffa „skarbnicą chłodu“ w jednym z feljetonów w krytyce Feldmana. Czemuż więc ten chłód rozpała w młodych najpierwsze ognie uczucia? Bo poezja Staffa nie jest chłodem. Jest wspaniałym dokumentem na to, że prawdziwa sztuka nie rodzi się w najczarniejszych otchłaniach, ani najjaśniejszych płomieniach myśli, lecz w spokojnem w namietnościach i tryskającym namietnością w spokoju, sercu człowieka. Tylko harmonja wewnętrzna, zespolenie całkowite najgłębszej treści psychicznej ze światem wrażeń i przeżyć — tworzy sztukę. Aby zaś sztuka nie kosztowała w jednej płaszczyźnie (wtedy nie jest już nawet sztuką) pojęć, aby mogła ogarnąć całe życie, cały świat, to człowiek tę sztukę tworzący musi sam przejść cały świat kultury i całe kulturalne życie. I znowu analogia ze Staffem. Zdumiewa bowiem ta rozpiętość świata kultury i wiedzy, do którego przystaje jego świadomość i intuicja. I tu jest może ta dziwna współczesność Staffa, w tem, że ocenia on należycie walory rzetelnej wiedzy sięgającej daleko i głęboko poprzez świat; że równocześnie z rozwojem poety rozwijał się w nim człowiek. Staffa nie da się tak łatwo przekreślić jednym pociągnięciem pióra partyjnego pismaka, gdyż zbyt poważną stanowi on pozycję w naszym dorobku kulturalnym. I można powiedzieć i trzeba powiedzieć: Staff, to wielki współczesny poeta!

Nagroda Poznania — J. Weyssenhoff.

Nagrodę Literacką Poznania na rok 1929 otrzymał autor „Jana bez ziemi“. Nie wolno mi w piśmie literackiem oceniać względów, które zadecydowały, że przy poprzednim uchwaleniu nagrody literackiej, przyznano ją wybitnemu publicyście i politykowi, odrzucając temsamem kandydaturę takiego poety, jak Kasprówiec, ale widocznie względ na pozycję pozytywnych zdobywców, jakie bądź co bądź przedstawia dla Poznania polityka i Dmowski, przeważał szale, na której z jednej strony leżały „pozytywne rezultaty“ ideologii p. Dmowskiego, z drugiej zaś „tylko“ poezja — i to poezja „tylko“ Kasprówicza. Przyznanie nagrody J. Weyssenhoffowi rehabilituje jury poznańskie, gdyż autor „Sobola i Panny“ w każdym razie reprezentuje... literaturę.

Właściwie „sztuka pisarska“ Weyssenhoffa z niezliczonymi zastrzeżeniami jest za blisko i zbyt mocno związana z życiem i aktualnością polityczną czy społeczną, by miała stać się czysta i nieskazitelna w powodzi lat i wypadków. Weyssenhoff patrzy na życie w specjalny sposób, cechujący raczej społecznika, niż artystę. Widzi on w ludziach nie obojętne ogniska energii psychicznej, lecz dodatnie lub ujemne czynniki rozwoju, zdrowia lub chore komórki organizmu społecznego. Dlatego Podfilipski, ten szubrawiec społeczny, został z tak doskonale ukrytą ironją potraktowany w pierwszej książce Weyssenhoffa — dlatego Dolega poświęca swą miłość osobistą dla spraw ponoć ważniejszych... bo społecznych. Że zaś autor „Puszczy“ baron Józef Weyssenhoff, wychowany w kuliście dla świetnej tradycji świetnych przodków musiał krytycznie oceniać wszelkie rewolucyjne zapędy, więc dlatego tak mizernie przedstawia się w jego powieściach rewolucja polska 1905 r. (Hetmani) i uświadamiające budzenie się wsi polskiej (Gromada). — Da się więc stwierdzić, że w powieści społecznej Weyssenhoff traci grunt pod nogami. — Przyczyna tego jest widoczna: w chłodnem, wytwornem nilezeniu obserwuje on życie społeczne nie przeżywając jego różnych objawów w sposób żywiołowy i głęboki (jak to uczynił np. Żemski); że zaś obserwuje życie z bliska, traci perspektywę, od czego nie ratuje go nawet jerny obiektywizm obserwacji. — Jest jednak pewna dziedzina życia, w której Weyssenhoff obraca się z nieposkromioną swobodą, gdzie naprawdę żyje, gdzie czuje się u siebie, gdzie magicznem dotknięciem pióra kształtuje rzeczywistość żywą, jedną, pulsującą najgłębszem ukołaniem i owianą najpiękniejszą tęsknotą. To — „Puszcza“ i — „Soból i Panna“.

Umiłowanie przyrody i życia, które w jej obliczu zawsze jest pełniejsze i piękniejsze, z bajeczną plastyką przedstawione w tych „myśliwskich“ powieściach, zapewniło Weyssenhoffowi nie tylko sławę i uznanie talentu psarskiego — ale i — co jest rzeczą dzisiaj zwłaszcza „niedzisiejszą“ — poczytność.

Nagroda państwowa — F. Goetel

Dotychczasowa twórczość Goetla należy do najzdrowszych objawów literatury polskiej i sztuki w ogóle. Pisarz, który nie ludził ani zadowolony zadowolonymi tego, co dać może i co może dać, lecz dawał odrazu rzeczy same z siebie mogące istnieć w literaturze, jako twory dojrzalego technicznie pióra i myśli cy wyobraźni niepospolitej — nie należy do zawiś normalnych. Tembardziej, że sztuka Goetla wyrosła z wojny. I właśnie dlatego ten wyraziściej zarysowuje się na mglistem tle powojennej polskiej literatury, pełnej dżwactw, snobizmu i zwyrodnienia jego męski talent. Talent, który jest wielkim argumentem naszej współczesnej literatury dla świata. R. twórczość Goetla jest zrozumiała nie tylko u nas; wszędzie! Jego powieści podróżnicze są wyjściem na świat człowieka wolnego. Władomego swej wolności i wartości, jakie w tej wolności daje. A wartości, które wnoszą Goetel do literatury są jakości pierwszorzędne.

Juz od czasu jak odkryto, że podobno wala o byt jest największą i zgola jedyną treścią ludzkiego żywota, zaczęto żądać od artystów, których zdegradowano do roli bardów, dodających ducha walcującym, by tworząc swą sztukę, wypracowali sobie jaknajszerszy światopogląd. Jeśli przyjmiemy, że artysta jest zawsze wyrazicielem tego, co już było, coż tedy łatwiejszego! Wszak tyle jest różnych doktryn filozoficznych, społecznych, — i tak się stało.

Mamy dziś mnóstwo pisarzy o ustalonym poglądzie na świat, poglądzie wypracowanym poza nim i bez ich współudziału. Nikt po światopogląd nie poszedł tam, gdzie jedynie należało go szukać: w życiu. I dlatego te papierowe światopoglądy tak anemicznie wyglądają w sztuce. Inaczej zrobił Goetel.

Na wszelkie bolączki życia, na wszelkie niesprawiedliwości i problemy życiowe znalazł odpowiedź w życiu. A znalazł je tylko dlatego, że był... artystą. Niektóre prawdy zasłonięte są oczom tych, którzy chcą je tylko ująć, zrozumieć. Pojmą je, chcąc uczynić z nich swój oręż i sztandar. Ci, nie pobudzając śpiącego ducha do walki — walczą sami, walczą o siebie nie dla siebie. Walczą dla wszystkich ale nie o wszystkich. — Te refleksje, nasuwają się przy próbie odgadnięcia światopoglądu Goetla. Świadczą o jego szlachetności i męskości. A przecież nie tu jest punkt ciężkości sztuki autora „Ludzkości“. To są sprawy natury raczej społecznej niż literackiej. Chodzi o to, co Goetel z tym światopoglądem zrobił w sztuce. Stworzyć sobie światopogląd w życiu to dla twórcy mało — trzeba jeszcze go raz stworzyć w sztuce. I stworzyć tak, by nas z kartek książki przekonał nie światopogląd a sztuka. Z tego zagadnienia wywiązał się Goetel dobrze i ciekawie. Usunął w swych powieściach na bok swoje „ja“ a nasunął przed oczy szereg obrazów, których zestawienia i oświetlenia były... nasze własne, ale jakoś zmienione, uzupełnione czemś. Tam gdziebyśmy postąpili źle, głupio, dzieje się coś niedostrzegalnie, co zmienia nasze postępowanie i ciśnie na usta okrzyk: „ach, tak trzeba było uczynić. Że też się tego nie domyśleliśmy!“ — A to „coś“, to niewidoczne, uzupełniające naszą świadomość o nowe spojrzenie na świat — to jest właśnie sztuka. I to sztuka wielka. Nie pokrzepiająca nas w walce o byt, ale odrywająca od niej na chwilę, choć na chwilę.

Lech Piwowar.

Wiesław Gorecki.

Paralityczka.

Wtłoczona w czarny fotel, toczący się zwolna, Wierzy jeszcze, że może uzdrowi ją cud. Do najmniejszego ruchu nogami niezdolna, Obserwuje zazdrośnie innych szybki chód.

To małe dziecko z piłką — jakże szybko goni. A ci chłopcy, jak pędzą — nie doścignie wzrok. Oh! Gdyby ktoś przystąpić zechciał kiedy do [niej, Aby na nim oparta, uszła choćby krok.

Nikt nie zbliży się ku niej, wszyscy są daleko! W samotności przemija długi, przykry dzień. Któżby znów zastanawiać chciał się nad [kaleką?

Co tam jeden wyschnięty, pacierzowy rdzeń?

Myśli jej mkną, jak stado spłoszonych gołębi. W przeciwieństwie do chorych i bezsilnych [nóg...

Jedna zaś myśl zaczyna się w jej sercu głębi: Dlaczego nie uzdrawia mnie wszechmocny [Bóg?

Rozpowszechniajcie „ANTENĘ LITERACKĄ“

HANKA KŁOSIŃSKA (Biała).

Zamarłe ręce.

Sław Lubiec szedł przez życie z skrzypcami opartymi o serce. Nikt nie znalazł jego zawiesiającego. Przepadł bez wieści na całe miesiące, by nieoczekiwanie zjawić się na symfonicznym koncercie w stolicy, czy karzynie przydrożnej w podbeskidzkiej wiosce. Grał pięknej kobiecie i prostemu chłopu, dzieciakowi umorusanemu i mecenasowi sztuki z jednakiem artryzmem i ukołaniem. Na strunach jego skrzypiec szalały wichry górskie, płakała krzywda ludzka, szumiała zboża i weselny śmiech dziewczyny. Jego muzyka pulsowała krwią, jak żywe serce, a poprzez wichry, słoty i burze, niosła pieszczotę zaszarowanych dłoni, co skradały światło słońcu.

Żył własnem, dla innych niepojętem, życiem. Czy czuł, myślał, wierzył, kochał, czy pragnął czego? Czy istniało dla niego coś miłszego, niż życie? — nikt nie wiedział.

Aż oto nieoczekiwanie odnalazła do tej tajemniczej duszy, kryształowy klucz — kobieta.

Miała czyste oczy, pozłociste włosy i ciepło w uśmiechu.

Spotykała go często, gdy grał. Nie znali się weale, nie zamienili ze sobą ani słowa, jednak zawarli serdeczne porozumienie. Było to jedno z tych uczuć ludzkich, zrodzonych podświadomości w sercu, wbrew woli, rozsądkowi, wbrew starym i utartym prawom świata. Uczucie bez wyznań, słów i spotkań, pełne

pragnienia, pokusy i rezygnacji, pełne zwątpień i bezgranicznej wiary. Uczucie, jakich wiele przeżywa budzone, ludzkie serce.

Pono spojrzenie silniej zaklina i wiąże, niż słowa. Lubiec i kobieta o przeczystych oczach — spojrzeniem oddali się na własność. Odtąd jego skrzypce mówiły tylko o jego miłości i ona ją rozumiała. Odtąd deptał wszystkie rzucane mu kwiaty, dziękując jedynie za złotą orchideję, o której wiedział, że była od niej, że nosiła w swym kielichu wonię jej oddechu i pocałunku, dotyk jej miłowanej ręki.

Były chwile, kiedy Sław pragnął ją poznać, usłyszeć z jej ust ciche, jak poszum kwiatowy, słowa, ujrzeć przy swojej twarzy jej miłującą oczy, usłyszeć bicie jej serca. Niesłychanie wrażliwy odczuwał, że się niepokoiła, cierpiała, że czekała na coś i o coś prosiła.

Jednak po pewnym czasie zżył się z swymi myślami i zniknęło w nim pragnienie zbliżenia się do niej. Pożądał jej obecności, była mu potrzebna, konieczna do życia, ale spowiadająca nieco i chciał, by wszystko zostało, jak było.

Wreszcie zaczęła mu obojętnie, jako człowiek i jako kobieta. To, za czem najwięcej tęsknił, czego od niej żądał — to był okłask jej dłoni. Okłask jej małych, dziewczęcych rącek; miłujących, szczerych w entuzjazmie. Te ręce kochał, tych rąk pragnął, ale tylko w godzinie gry.

Wtedy zdawało mu się, że to jej ręce na strunach mdleją, pragną i pieszczą, że to jej ręce o swej tęsknocie śpiewają, o szczęście się modlą, o życie proszą. Jej białe, dziewczęce rączki

Cala subtelną duszą artysty wyczuł, że istnieją kobiety, które kochają bez słów i brzyziąg, które w spojrzeniu oddają swe serce. I wiedział, że ona go tak kochała.

Ale jejmu do życia starczył tylko okłask jej zachwyconych dłoni, więc bał się zerwać brutalnie zasłone, która była poznaniem. A na dnie duszy żył w nim egoizm, wyrosły z tej wielki, jaką kobieta toczyła o niego z nim samym. Pragnął, by zdobywając, traciła go i tem spłacała okup, jakiego od niej żądał wzamian za siebie.

Jakże często miał ją w białe-złoty kocytkach Filharmonji, nie poznając, nie chcąc poznać. Napawał się bladeścią jej twarzy i tragicznym tańcem rąk, co bezwiednie szarpały koronki u sukni. Wyczuwał, jak przechodziła jej dusza przez nadzieję, zwątpienie, upokorzenie i gorycz, by dojść do poznania. Sław wykręcił nowe natchnienie w jej ręce. A ręce jej, mimo wszystko, wciąż były zdolne do okłasków, do pochwał jego gry. I tak żyli z wieczora na wieczór. Ona — swą męką, on — cudowną wymową i okłaskiem jej rąk.

Wreszcie, gdy spotkał ją raz w wielkim hallu samotną, zdawało mu się, że o coś więcej pytała go oczyma niż zwykle, uważniej i bardziej badawczo i z jakąś większą, niż z usze, ufnością. Zdawało mu się, że dziś właśnie chciała mu coś wyznać, wyjawić. Zaczęła isć ku niemu, a na ustach jej zakwitły nieścałowane pocałunki.

Ale on, który tak długo śledził jej mękę, nie chciał jej zobaczyć innej i szczęśliwszej. Wte odszedł.

Potem nie przychodziła do Filharmonji

przez kilka wieczorów. Nie trwożył się ten, wiedząc, że wróci. Zrozumiał jednak, że bez niej pustą jest pełna publiczności sala, że glucho jest, mimo rozgłosne owacje tłumy, gdyż mileją jej ręce, smutno, gdyż nie uśmiechają się jej usta, ciemno, gdyż jej oczy nie patrzą w jego duszę.

I nagle wykręcił w sobie to, czego się nie spodziewał, czego nie oczekiwał: żal za nią. Brakło mu tych rąk i oczu, brakło jej całej, życie bez niej stało się niepokojącym wyczekiwaniem na jej przyjście. Jak każdy mężczyzna pokochał dopiero wtedy, gdy uświadomił sobie, że mógłby ją utracić.

Wolał ją co dnia skrzypiec swych zaśpiewem, wierząc i wątpiąc naprzemiennie w jej powrót.

Aż gdy jednego wieczoru wydało mu się, że żyrandole jaśnieją niż zwykle świecą, spotkał znów jej przeczyste oczy, zapatrzone w jego duszę.

Śmiech weselny spadł na zasłuchaną salę z pod jego smyczka. Wszystkie ręce złożyły się do okłasku, tylko jej rączki, białe, drobne, bez ruchu pozostały wtulone w tiul sukni.

Jej dziewczęce, ukołane rączki, nie zdrząły, nie uniosły się w górę w porywie. Jej ręce zamarły. Zamarły na zawsze dla niego. Na jednej z nich błyszczała ślubna obrączka.

Gdy przez struny jego skrzypiec spłynęły lzy i wszystka krew z serca zawisła u smyczka — jej oczy już nie rozumiały.

Jej ręce nie żyły. Dziewczęce, najdroższe ręce...